



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Eugenia Nowak, z d. Stangreciuk

## Dwie okupacje

Województwo podlaskie (do niedawna białostockie), a zwłaszcza okolice Hajnówki, skąd pochodzę, to rzadko spotykany i urokliwy region naszego kraju szczytający się szczególnie Puszcą Białowieską.

Puszcza od pradziejów do naszych czasów zawsze stanowiła oparcie dla miejscowej ludności. Dla jednych była żywicielką, dla drugich miejscem pracy i zarobku, dla innych jeszcze domem i schronieniem przed zagrożeniem. Zawsze jednak służyła człowiekowi, jako dar natury. Dla mnie najpierw spełniała rolę placu zabaw i jakby przedszkola, a później tak dla mnie jak i mojej rodziny była schronieniem przed niebezpieczeństwem.

Urodziłam się w Dubinach, lecz swoje najmłodsze lata dziecięce wraz z rodzicami – ojcem Bolkiem i matką Ludwiką, z domu Łapińską oraz dziadkami – Janem i Apolonią Stangreciukami, a także ich dziećmi – Jadzią, Gienkiem, Helą i Karolem, spędziłam w Lipinach.

Nasz dom usytuowany był tuż przy puszczy. Oddzielała go od niej tylko wąska, wiejska droga. Budynek zbudowany był z grubych oszalowanych bali i składał się z dwóch izb oraz strychu. Ściany bielone były wapnem, a za podłogę służyła ubita glina. W jednej z izb znajdował się duży piec, który służył nie tylko do gotowania i pieczenia chleba, ale i do spania.

Budynek mieszkalny otaczały zabudowania gospodarcze, czyli chlew dla krów i świń, stajnia dla konia oraz drewnitnia. Dodatkowo obok stajni mieściła się piwniczka ziemna z trójkątnym daszkiem i drzwiczkami zamykanymi na kłódkę. Całość zabudowań ogrodzona była drewnianym płotem, a w podwórzu trzymano kury i perliczki. Do posesji przylegał duży ogród – pole, gdzie uprawiono warzywa, ziemniaki i niewielkie ilości zboża.

Jak przystało na ludzi puszczy, w ogrodzonym podwórku na uwięzi, całego gospodarstwa pilnował autentyczny, prawdziwy wilk. Pewnego razu ojciec z dziadkiem Janem znaleźli w puszczy błąkającego się i wycieńczonego wilczego szczeniaka. Trzymaliśmy go w domu i tak już pozostał. Odchowal się i wyrósł na dorodnego basiora. Ciągle jednak był na łańcuchu, gdyż nigdy się nie oswoił i warczał pokazując potężne kły. Nikogo do siebie nie dopuszczał. Nawet jedzenie trzeba było mu podawać na kij. Był jednak niezastąpionym stróżem posesji i dobrze służył swoim gospodarzom, czyli nam.

Cała moja rodzina, a więc rodzice i dziadkowie oraz ciotki – Jadzia i Hela, stryjkowie – Gienek i Karol w Lipinach, żyła biednie, lecz zgodnie i bez żadnych nieporozumień. Każdy z rodziny wiedział, gdzie jest jego miejsce i co do niego należy. Zachował się tu zwyczaj patryjarchatu i głową rodziny był dziadek Jan – najstarszy i najbardziej doświadczony życiowo członek rodu.

Dziadek ze względu na sposób bycia oraz staropolskie, sumiaste wąsy, pozując na starego szlachciurę, Sarmatę przypominającego sienkiewiczowskiego Zagłobę, dbał o porządek i dyscyplinę w rodzinie. Do

niego należało również ostatnie słowo w każdej sprawie. Nikt też nie śmiał i nie miał odwagi sprzeciwić się mu lub odmówić wykonania jakiegokolwiek polecenia. Dziadek zarządzał całą rodziną, ale pod szczególną kontrolą miał mężczyzn. Babcia Apolonia natomiast sprawowała pieczę nad kobietami. Mężczyźni wykonywali tzw. prace męskie, a kobiety zajmowały się domem oraz obrządkiem inwentarza i pracami polowymi. Panowała rodzinna harmonia i wzajemne poszanowanie, a dziadek Jan cieszył się niekwestionowanym autorytetem i szacunkiem. Tak ukształtowane stosunki utrzymywały się jeszcze dość długo w rodzinie Stangreciuków.

Dla zapewnienia minimalnej egzystencji rodziny, ojciec z dziadkiem Janem pracowali w puszczy przy wyrębie i zwózce drewna. Była to praca bardzo ciężka, szczególnie zimową porą, a zarobki niewielkie. Innej pracy nie było, więc ojciec z dziadkiem przy dużym wysiłku katorżniczej pracy, kosztem własnego zdrowia robili wszystko, aby zapewnić rodzinie byt.

Moje życie w Lipinach pod troskliwą opieką rodziców, dziadków i krewnych do wybuchu wojny upływało bez rozkoszy, ale spokojnie i na ogół beztrzesko. Prawie całe letnie i pogodne dni spędzałam w puszczy. Tu z braku zabawek, gdyż rodziców nie było stać, żeby mi kupić jakąś lalkę lub wózek, zabawiałam się czymkolwiek. Zbierałam żuczki i ustawiałam je w szeregu, a one maszerowały i wyobrażałam sobie, że jest to moje wojsko. Urządzałam małe poletka, na których sadiłam zerwane uprzednio kwiatki. Ustawiałam z patyków domki i ogrodzenia, gdzie również wpuszczałam żuczki, które tym razem odgrywały rolę mieszkańców tej zbudowanej przeze mnie zagrody. Bawiąc się w puszczy podziwiałam olbrzymie sosny, świerki oraz gęste zarośla, słuchałam jej poszumu i śpiewu ptaków. Puszcza stała się moim ulubionym miejscem zabaw i jakby drugim domem. Obcując z nią na co dzień, poznałam jej piękno i nabrałam dla niej szacunku. Nauczyłam się kochać przyrodę w szerokim tego słowa znaczeniu, nie tylko drzewa, rośliny i kwiaty, ale i wszelkiego rodzaju zwierzęta i to mi pozostało do dziś.

Oprócz przebywania w Lipinach, często sama lub z rodzicami, chodziłam do krewnych w Hajnówce, Łosince oraz Dubinach, a także na odpusty w Krynocze. Tak to moje życie do wybuchu wojny w 1939 roku przebiegało. W zasadzie beztrzesko i bezproblemowo. Prawdziwe problemy i stesy zaczęły się dopiero w czasie wojny.

Druga wojna światowa na terenach wschodnich miała zupełnie inny przebieg aniżeli w innych rejonach naszego kraju. Tereny te przechodziły podwójną okupację; najpierw radziecką, a później niemiecką.

Już 17 września 1939 roku, zgodnie z zawartym uprzednio układem między III Rzeszą i ZSRR, zwanym później paktem Ribbentrop-Mołotow, na Podlasie wkroczyły wojska radzieckie. Odbyło się to prawie bez jednego wystrzału, gdyż rozbita przez Wehrmacht Armia Polska w zasadzie już nie istniała. Wycofujące się na wschód jej resztki, bez większego oporu, poddawały się Armii Czerwonej i szły do niewoli.

Następnego dnia w godzinach rannych Hajnówka oraz jej okolice zaroily się żołdatami z czerwoną gwiazdą na czapkach. W Lipinach również zatrzymały się jakieś oddziały piechoty i tu już w pierwszych dniach ich pobytu wydarzył się dość znamienny i niecodzienny przypadek.

Moja matka, widząc głodnych żołnierzy, w dużym kotle ugotowała im jakąś zupę. Jak przystało na gościnną gospodynię, naląła zupy do talerzy, dała im – pozostałe jako pamiątki rodzinne – srebrne łyżki i poprosiła do stołu. Żołnierze zjedli z apetytem, podziękowali i wyszli z mieszkania. Matka, sprząając po nich naczynia, stwierdziła brak jednej łyżki. Zapytała tylko, co przed chwilą goszczących żołnierzy, czy któryś z nich przez przypadek lub pomyłkę nie wziął łyżki ze stołu. Nikt się do tego nie przyznał i to ją zdenerwowało. Postanowiła interweniować u dowódcy. Spotkała jakiegoś oficera, trudno dziś powiedzieć jakiego – liniowego, politruka czy enkawudzistę, któremu opowiedziała o zaistniałym incydencie. Ten natychmiast zebrał uczujących przed chwilą żołnierzy i zapytał, kto z nich przywłaszczył sobie srebrną łyżkę? Ponieważ nikt się nie przyznał, przeprowadził rewizję i u jednego z nich znalazł łyżkę za cholewą buta. łyżkę oddał matce i przeprosił za czyn „niegodny żołnierza radzieckiego”, a żołdta – złodzieja – odprowadził na bok i bez żadnego sądu oraz wyroku zastrzelił jak jakiegoś psa.

Cała nasza rodzina, na czele z matką, była zbulwersowana tym wydarzeniem. Takiego obrotu sprawy nikt się nie spodziewał, a przede wszystkim matka, która tylko upomniała się o pamiątkę rodzinną. Czyż – zastanawiała się – srebrna łyżka warta jest życie człowieka, chociażby złodzieja? Czy żołnierza – sprawcę tego czynu – nie można było ukarać w inny sposób, tylko bestialsko zabić? Żałowała swojej interwencji, ale było już za późno. Trudno, stało się. Widocznie takie, a nie inne w tym czasie panowały „porządki” w Armii Czerwonej.

Niemniej wstrząśnięta tą bezsensowną śmiercią byłam ja, jako mała dziewczynka. Po raz pierwszy w życiu spotkałam się bowiem z brakiem szacunku dla życia ludzkiego oraz sprawiedliwego wymiaru kary. Nie przewidziałam jednak tego, że w niedalekiej przyszłości przyjdzie mi się spotkać z o wiele ohydniejszymi zbrodniami, dokonywanymi co prawda nie na swoich obywatelach lecz na miejscowej ludności przez okupacyjne władze niemieckie po 1941 roku.

Armia Czerwona na zajętych przez siebie terenie dość szybko zaczęła wprowadzać nowe porządki. Najpierw zajęto się „burżujami” i „pamieszczycami” – dziedzicami, urzędnikami państwowymi,

policjantami i oficerami Wojska Polskiego oraz bogatymi kupcami. Nastąpiły aresztowania i wysyłki tych ludzi w głąb ZSRR. Wszystkie „polskije pany” znaleźli się w Kazachstanie lub innych częściach Rosji. Moją rodzinę, jako „raboczyj narod” na szczęście nie spotkały żadne represje, zarówno ze strony żołnierzy radzieckich, jak i NKWD.

Następnym etapem wprowadzania swoich porządków, było ustanowienie nowego ładu ustrojowego. Zarządzono wybory do rad narodowych i po ich przeprowadzeniu powołano tzw. „sielsowiety”. Zapanował ustrój radziecki, a całe Podlasie włączono do ZSRR i potraktowano jako Białoruską Republikę Radziecką.

Dla miejscowej ludności nowy ustrój nie przyniósł nic dobrego. Szeroką propagandą za tym ustrojem i ideologizacją życia społecznego nie można się było najeść. Rosjanie wykupili wszystko co się dało. Sklepy były prawie puste. Szwankowała dystrybucja i zaopatrzenie. Brakowało podstawowych produktów codziennego użytku i żywności. Szczególne braki odczuwało się w nafcie i soli. Społeczeństwo zubożało. Każdy zaczął sobie radzić jak mógł i potrafił. Doszło do tego, że zamiast obiegu pieniądza, nastąpiła wymiana towarowa. Zapanował chaos i dezorganizacja, ale propaganda za nowym ustrojem i ideologizacją życia społecznego nie ustawała.

Było to latem 1940 roku, gdy nowe władze Hajnówki wraz z przedstawicielami garnizonu wojsk radzieckich z jakiejś okazji zorganizowały „spęd” młodzieży w miejscowym kinie. Na „spędzie” tym byłam również i ja ze swoją siostrą cioteczną Danką Oleszczuk. Najpierw wygłoszono pogadankę na temat zalet i dobrodziejstw ustroju radzieckiego, a następnie wyświetlono jakiś film o tematyce rewolucyjnej. Po filmie poinformowano dzieci, że teraz spotka je niespodzianka ze strony władzy radzieckiej. Kazano im wołać: „Sowiec, sowiec daj kamfiet” i po paru takich zawołaniach zaczęto z balkonów rzucać na salę cukierki. Dzieci łapały je w powietrzu i zbierały z podłogi. Było zabawnie i wesoło. My, maluchy byliśmy zadowolone z atrakcji i łakoci, a władza cieszyła się z dobrze spełnionego obowiązku propagandowego i ideologicznego.

Prymitywna, a nawet – można powiedzieć – prostacko naiwna to propaganda i ideologizacja młodzieży, ale takie to były czasy i takie m.in. stosowano wtedy metody. Na ile one były skuteczne, okazało się dużo, dużo później.

Nadszedł 1941 rok. 22 czerwca wybuchła wojna między Niemcami a ZSRR. Niemcy zaatakowali wojska radzieckie ogromnymi siłami równocześnie na ziemi i z powietrza. Wehrmacht szedł do przodu jak burza. Zaskoczona i zdezorganizowane jednostki radzieckie, stawiając minimalny opór, w chaosie wycofywały się na wschód. Nie wszystkim jednak udało się oderwać od wroga i zająć pozycje obronne. Wiele z nich po okrażeniu dostało się do niewoli. Inne, rozbite w boju, schroniły się w puszczy stanowiąc załazek i jądro przyszyłych, dużych zgrupowań partyzanckich.

Ta wojna różniła się tym od tej z 1939 roku, że w pierwszych jej dniach przez ziemię hajnowską przeszedł huragan ognia. Niemcy, oprócz jednostek pancernych, zwłaszcza czołgów, użyli zmasowanego ognia artylerii i lotnictwa. Bombardowana była z powietrza Hajnówka i jej okolice.

W tych to właśnie dniach od niemieckiej bomby lotniczej zginął mój cioteczny brat – Wacek Żurobski, a jego matce Julii odłamek wybił oko. Na szczęście były to pierwsze i ostatnie ofiary tej wojny w mojej rodzinie. Ofiar więcej nie było, ale wydarzył się za to jeden wypadek, który zaczął się szokiem i grozą, a zakończył ogólną wesołością.

W drugi dzień wojny moja matka poszła do ogrodu po pomidory. Zerwała wszystkie dojrzałe, czerwone warzywa, zawinęła je w przy-pasany do bioder fartuch i tak niosąc na brzuchu skierowała się w stronę domu. Nagle nadleciał niemiecki samolot i zaczął strzelać z karabinu maszynowego. Matka wystraszona ruszyła biegiem w kie-runku podwórka i w tym momencie niedaleko wybuchła bomba. Czy to ze strachu, czy też zawadziwszy o jakąś przeszkodę, przewróciła się i padając na brzuch, rozgniotła wszystkie pomidory. Po podniesieniu się cały brzuch miała czerwony, co sprawiało wrażenie jak gdyby mocno krwawiła po ciężkim zranieniu. Widząc to przerażona Hela zaczęła krzyczeć, że moja matka, a jej bratowa jest ranna i potrzebuje pomocy. „Ratujcie bratową, bomba ją trafiła!” – wrzeszczała. Wylecieli z mieszkania nie mniej przerażeni i zszokowani pozostali członkowie rodziny wraz ze mną i poczęliśmy dokładnie oglądać matkę. Gdy okazało się, że Hela niepotrzebnie wpadła w panikę, gdyż rzekoma krew na brzuchu matki, to nic innego jak sok pomidorowy, nastąpiło ogólne odprężenie, a na końcu wybuch śmiechu. Ja szlochając jeszcze, szczęśliwa, że matce nic się nie stało, przytuliłam się do niej, a wszyscy pozostali mieli świetny ubaw. Śmiali się nie tylko z przygody matki, ale i ze skojarzeń Heli. Matka natomiast miała do Heli pretensje, iż bez uzasadnionego powodu narobiła niepotrzebnego zamieszania i napędziła wszystkim strachu. Długo jeszcze w mojej rodzinie mówiono z humorem i śmiechem o tym rzekomym ranieniu mojej matki odłamkiem bomby i panicznej histerii Heli.

Front przeszedł i działania wojenne przeniosły się daleko na wschód. Hajnówka i jej okolice znów znalazły się pod okupacją, tym razem niemiecką. Można by powiedzieć „zamienił stryjek siekierkę na kijek” lub „z deszczu pod rynnę”.

Teraz Niemcy zaczęli wprowadzać swoje porządki. Wprawdzie otworzyli szkołę i zaczęłam do niej uczęszczać, ale zapanował rygor i pruska dyscyplina – całkowite podporządkowanie się wszelkim

nakazom i zakazom władz niemieckich. Miejscowej ludności wcale nie było lżej z tego powodu. Władze radzieckie represjonowały Polaków kierując się pojęciem klasowości. Chodziło im o „oczyszczenie” społeczeństwa z „polskich panów”. Natomiast dla Niemców – nie mówiąc o Żydach i komunistach – wrogiem był każdy, kto nie tylko w taki czy inny sposób działał na szkodę III Rzeszy, ale i ten, kto nie wykonywał lub sabotował ich zarządzenia. Jeżeli do tego dodamy jeszcze realizowany w praktyce nazistowski pogląd, że Żydzi, Polacy i Białorusini, to podludzie, nad którymi „panami życia i śmierci” są „władcy tego świata” – czyli przedstawiciele hitlerowskich władz, to nie trudno sobie wyobrazić życie pod okupacją niemiecką.

Życie w takich warunkach stawało się coraz bardziej ciężkie – biedne, szare i ponure. Wzmagał się terror i represje. Zaczęto wyznaczać ludzi na przymusowe roboty do Rzeszy, a jeżeli ci nie stawiali się w gminach, urządzano łapanki. W ten sposób na przymusowych robotach w Niemczech znaleźli się dwaj moi stryjkwie – Mietek i Gienek.

Pomimo terroru i represji rósł opór miejscowej ludności wobec zarządzeń i postępowania władz niemieckich. Mieszane, rosyjsko-białorusko-polskie oddziały partyzanckie, mające swoje bazy w puszczy, aktywizowały się i coraz więcej dawały znać o sobie. Nie tylko rozbijały posterunki policji i żandarmerii, ale wysadzały transporty ze sprzętem wojskowym podążające na front wschodni. Mieszkający w pobliżu puszczy ludzie, chociaż sami biedni, zaopatrywali oddziały partyzanckie jak mogli i czym mogli, ale przede wszystkim była to żywność.

Władze niemieckie szybko się spostrzegły, że walka z ukrywającymi się partyzantami w puszczy jest bezskuteczna, bez odcięcia ich od bazy zaopatrzeniowej i ludzi współpracujących z nimi.

Najpierw aresztowano kilkanaście osób podejrzanych o współpracę z partyzantami, a następnie rozstrzelano ich publicznie dla odstraszenia innych. Na tym się jednak nie skończyło. Były i dalsze aresztowania oraz zsyłanie podejrzanych do obozu śmierci w Majdanku. W końcu zarządzono wysiedlenie wszystkich mieszkańców z wiosek położonych w pobliżu puszczy. Los ten spotkał także wieś Lipiny, a więc i moją rodzinę.

Pewnego dnia do Lipin przyjechało trzech żołnierzy niemieckich z tłumaczem i chodzili od mieszkania do mieszkania. Przyszli również do nas i tak jak pozostałym oświadczyli, że zgodnie z zarządzeniem władz okupacyjnych w przeciągu dwóch tygodni mamy opuścić wieś. W przeciwnym razie spotka nas surowa kara, do kary śmierci włącznie. Cała rodzina zdrętwiała z przerażenia i rozpaczki, lecz polecenie władz okupacyjnych trzeba było wykonać. Rozkaz był wyraźny, a groźba kary straszna.

Jakby tego było mało, Niemców – po ich wyjściu z mieszkania – rozłożył miotający się na łańcuchu, warczący na nich i pokazujący im potężne kły wilk. Zaczęli na niego krzyczeć, aby schował się do budy, lecz to jeszcze bardziej go rozjuszyło. Jeden z żołnierzy nie wytrzymał, złożył się z karabinu, strzelił do niego i wilk padł trupem, a stojącemu w drzwiach mieszkaniu dziadkowi, jeden z Niemców pogroził palcem jak gdyby chciał mu dać do zrozumienia: „Spróbujcie i wy szczyrzyć na nas zęby i nie wykonać naszego rozkazu, a spotka was to samo – z nami nie ma żartów”

I rzeczywiście, z okupantem hitlerowskim nie można było żartować. Nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko wykonać zarządzenie i wynieść się z Lipin. Postanowiono rozebrać chałupę oraz zabudowania gospodarcze i przenieść się do Hajnówki. Za sprzedany budulec z rozbiórki zakupiono dwa nieduże budynki w Hajnówce na Żabiej Górze i tu zamieszkaliśmy. Tym razem już osobno. Dziadkowie z dziećmi – Helą i Karolem w jednym mieszkaniu, a ja z rodzicami w drugim. Budynki te stały niedaleko jeden od drugiego i rodzina nasza, chociaż mieszkająca oddzielnie, nadal utrzymywała ze sobą bliskie kontakty na co dzień.

Okupant z istic niemiecką dokładnością i systematycznie realizował swoją politykę gnębienia i eksterminacji społeczeństwa. Terror nie słabł ani na chwilę, a podejrzani o cokolwiek ludzie traktowani byli z bezwzględny okrucieństwem. Nie szczędzono najokrutniejszych kar rodzinom osób podejrzanych o współpracę z podziemiem lub będących w oddziałach partyzanckich.

Najbardziej odrażającą zbrodnią w Hajnówce było zamordowanie przez gestapo żony Teodora Biegluka, dlatego że ten wstąpił do oddziałów partyzanckich przebywających w puszczy. Jesienną porą, w nocy Bieglukową wyciągnięto z mieszkania w koszuli i poszczuto psami, które rozszarpały ją na kawałki. A wszystko to działo się na oczach jej dzieci. Czy można sobie wyobrazić takie bestialstwo, ból i męki tej kobiety oraz przerażenie i rozpacz jej dzieci? Zdawałoby się, że człowiek człowiekowi nie jest w stanie wyrządzić tak okrutnej krzywdy, a jednak hitlerowcy robili to bez żadnych skrupułów.

O dokonywanych przez hitlerowców zbrodniach na miejscowej ludności dowiadywałam się od rodziny i sąsiadów. Przeżywałam to bardzo mocno. Moja młoda psychika poddawana była stopniowym stresom. Litowałam się nad prześladowanymi i dręczonymi ludźmi, a równocześnie ogarniał mnie strach przed ewentualnymi represjami rodziny ze strony okupanta. Mając w pamięci pierwsze spotkanie z żołnierzami niemieckimi i zabicie przez nich naszego wilka, czym zostałam boleśnie przerażona, a także bestialstwo władz okupacyjnych w stosunku do miejscowej ludności, nienawidziłam munduru niemieckiego i wszystkiego, co z nim związane, a więc przemocy, brutalności i okrucieństwa.

Pod koniec 1943 roku władze okupacyjne wydały zarządzenie, aby posiadacze koni zdawali je na rzecz armii niemieckiej. Dziadek i ojciec, wychodząc z założenia, że konie są ich żywicielami (nadal obaj pracowali w puszczy przy wycince i wywózce drewna), nie podporządkowali się temu zarządzeniu. Konie ukryli w puszczy i czekali na dalszy rozwój wydarzeń.

Tymczasem ciotka Stacha pracująca w niemieckim kasynie oficerskim w Hajnówce, jako kucharka i kelnerka, uzyskująca z tego tytułu cenne informacje o ruchach wojsk oraz zamierzeniach policji, żandarmerii i gestapo (z tych informacji często korzystali partyzanci, do których docierały one różnymi kanałami) – zasygnalizowała, że dziadkowi i ojcu grozi aresztowanie za „przestępstwo” niezdania i ukrycia w puszczy koni.

Z informacji ciotki Stachy wynikało, że dziadka i ojca zadenuncjował mieszkający vis-a-vis nas volksdeutsch. Znany on był z wysługiwania się Niemcom, a jego około 15-letni syn należał nawet do młodzieżowej organizacji niemieckiej Hitler Jugend.

Dziadek z ojcem zaczęli się zastanawiać, co im wypada czynić w tej sytuacji. Doszli do wniosku, że nie mogą dłużej przebywać w domach i czekać, aż przyjdzie po nich policja. Uradzili w końcu, że ocalić mogą swoje głowy tylko w puszczy, wśród partyzantów. Najbliższej nocy poszli więc – ojciec oczywiście z ukrywaną od przed wojny do tej pory strzelbą – w swój pierwszy partyzancki rajd. W jednym z oddziałów partyzanckich zostali przyjęci bez żadnych zastrzeżeń i przebywali w nim już do wyzwolenia. Później się dowiedziałam, że był to oddział radziecki, w którym oprócz Rosjan przebywali również Polacy i Białorusini.

Od chwili ucieczki dziadka i ojca nasza rodzina, a szczególnie babcia i matka, poddane zostały nieustającej presji i indagacji policyjnej. Do naszego domu najczęściej przychodził policjant przesiedlony z poznańskiego. Polak w służbie niemieckiej o nazwisku – nomen omen – Nowak. Ten zawsze w pierwszych słowach pytał matkę – „Gdzie chłop?”, a matka niezmiennie odpowiadała tak samo – „Nie wiem. Nic nie mówiąc wyszedł z domu i nie wrócił. Nie mam pojęcia, gdzie może być”. Ciągłe jedne i te same odpowiedzi irytowały go i za którymś razem zaczął szarpać i bić matkę, a mnie płaczącą kopnął w tyłek. Zaczęłam krzyczeć, nie tyle z bólu, co ze strachu. W końcu, na skutek nieudanych indagacji i niemożności ustalenia miejsca pobytu ojca tak się wściekł, że z desperacji zastrzelił nam psa – kundla. Całe szczęście, że od śmierci mojego brata ciotecznego Wacka Żurobskiego w pierwszych dniach wojny niemiecko-radzieckiej, ofiarami terroru niemieckiego były tylko nasze zwierzęta a nie ludzie.

Pewnej zimowej nocy (było to w grudniu 1943 roku, tuż przed świętami Bożego Narodzenia) do naszego mieszkania wpadł wystraszony Karol z okrzykiem – „Bratowo, uciekajcie! U nas są Niemcy, biją mamę i pytają o naszego ojca. Uciekajcie czym prędzej, bo zaraz będą i u was”. Moja matka, pomimo zaawansowanej ciąży, niewiele się namyślając, szybko się ubrała, mnie otuliła jak najcieplej i obie biegiem udałyśmy się do puszczy. Szłyśmy w lesie po omacku i jakimś zbiegiem okoliczności na jednej z polanek natknęłyśmy się na mojego ojca. Co za szczęśliwy traf! W nieszczęściu i niedoli chwila radości z tak nieprzewidzianego, ale jakże upragnionego spotkania. Okazało się, że ojciec wybierał się do nas w odwiedziny i jakie niebywałe szczęście, że się spóźnił. Gdyby nie to spotkanie, kto wie czy by nie wpadł w ręce Niemców.

Ojciec zaprowadził nas do oddziału partyzanckiego w głąb puszczy i odtąd stałyśmy się „partyzantkami”. Matka gotowała posiłki, a ja jej pomagałam jak mogłam.

Babcia jeszcze przez parę dni kurowała się po pobiciu przez Niemców i gdy poczuła się znacznie lepiej, doszła do wniosku, że nie może się dłużej narażać siedząc w domu. Zabrała Helę i Karola i wspólnie wyruszyli do puszczy dołączając do oddziału partyzanckiego, w którym przebywałam już z rodzicami i dziadkiem.

W tej sytuacji poczuła się zagrożona i ciotka Stacha. Nie pozostało jej nic innego, jak również uciekać i udać się do obozu partyzanckiego. Tu zyskała sobie opinię niezastąpionej kucharki, potrafiącej ugotować jak to się mówi „z niczego coś smacznego”.

W ten sposób obóz partyzancki wzbogacił się o dość liczną rodzinę Stangreciuków. Babcia, ciotka Stacha i moja matka kucharzyły. Hela i Karol znosili chrust na ogniska, a dziadek z ojcem prowadzili zwiad. Każdy miał swoje zajęcie i nikt nie narzekał na bezczynność. Nawet ja, mały „szkrab”, starałam się pomagać, zwłaszcza w lekkich pracach.

Życie w obozie partyzanckim nie było proste i łatwe. Przebiegało ono według powszechnie znanego powiedzenia „chłodno, głodno i do domu daleko”. Ludzi było dużo. Spało się w ziemiankach i szałasach, a była to przecież zima z 1943 na 1944 rok. Doskwierał nam wiec chłód. Okrywaliśmy się czym mogliśmy, ale i tak marzliśmy i chorowaliśmy. Nie było dostatecznej ilości żywności. Pod dostatkiem było mięsa, gdyż partyzanci polowali na dziką zwierzynę. Nie brakowało mleka, ponieważ wielu gospodarzy ukrywało w puszczy krowy i dojone one były przez partyzantów. Brakowało natomiast chleba i soli. Te artykuły były ściśle racjonowane i wydzielane pod kontrolą dowództwa. Sytuacja znacznie się poprawiła latem 1944 roku, gdy w puszczy można było już zbierać jagody i grzyby. Ale i tak ciotka Stacha, babcia i matka musiały dokonywać przysłowiowych cudów, żeby ugotować coś dobrego i smacznego, a zwłaszcza coś, co dawało się zjeść.

Pomimo ciężkich warunków obozowych oraz ponoszonych strat osobowych i materialnych w toczonych walkach z Niemcami, partyzanci nie upadali na duchu. Wierzyli w zwycięstwo, a swój trud i znój oraz niewygody życia „osładzali” sobie śpiewem i grą na harmonii.

Z tego okresu pamiętam śpiewaną w obozie białoruską pieśń o partyzancie, z której jedna ze zwrotek brzmi:

Na opuszki lesu staryj dub stoit,  
A pod etim dubom partizan leżył  
On leżył nie dyszył, tak nibut jak spit  
Zołotyje kudry wieter szewierit.

Do dziś dźwięczą mi w uszach fragmenty śpiewanej przez partyzantów przy przygrywce harmonii, melodyjnej piosenki z tamtego okresu. „Graj harmonio w zawiei wśród pól... W mej ziemiance nie zimno mi już, taki żar w moim sercu się tli... Tyś daleko, daleko jest dziś... A do śmierci zaledwie jest krok”.

Dla naszej rodziny najgorszy był miesiąc lutego 1944 roku. Zima w pełni, pada śnieg z deszczem, szalały przeciekają, a w jednym z nich leży moja matka z bólami porodowymi i zaczyna rodzić. Zapanowała panika. Ojciec przed deszczem i śniegiem zasłonił matkę swoim ciałem, klęcząc na nogach i podpierając się rękami, a babcia odbierała noworodka. Na szczęście poród przebiegł bez komplikacji. Urodziła się dziewczynka, której później nadano imię Lucyna.

Ale przecież nie koniec na tym. Teraz dopiero zaczęły się kłopoty. Jak w takich warunkach wychowywać noworodka? Wprawdzie Lucyna karmiona była piersią, ale co z higieną? Ani pieluch, ani odpowiednich ubranek, a tu zimno! W jaki sposób to dziecko wykąpać, żeby nie zmarzło? Nie uniknięto problemów zdrowotnych i ku zmartwieniu całej rodziny, a zwłaszcza matki, Lucyna często się przeziębiała i chorowała. W takich przypadkach matka nocami przemyciała się z puszczy do Hajnówki, aby uzyskać lekarstwo i w ten sposób narażając się na wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa, ratowała życie Lucyny. Poświęcenie matki nie poszło na marne. Lucyna przetrzymała najcięższe dni obozu partyzanckiego i wyrosła na zdrową, dorodną dziewczynę.

Na przełomie czerwca i lipca 1944 roku dla naszej rodziny skończyły się chłodne i głodne dni życia partyzanckiego. Na tereny ziemi hajnowskiej ponownie wkroczyła Armia Czerwona wraz z Wojskiem Polskim pędząc Niemców na zachód. W 1939 roku armia ta wśród Polaków uchodziła z okupacyjną i słuszną. Teraz miała miano wyzwolicielki. Są nieraz w historii takie paradoksy i nic się na to nie poradzi.

Mój ojciec prosto z partyzantki wcielony został do organizującej się na naszych terenach II Armii Wojska Polskiego i walczył z Wermachtem, a po kapitulacji Niemiec z bandami UPA w Bieszczadach. Zdemobilizowany został w stopniu plutonowego w 1946 roku i wrócił do Hajnówki. Nie zapomnę nigdy jak ojciec ze łzami w oczach opowiadał o dokonywanych przez bandy UPA zbrodniach na ludności polskiej. Robiło to na mnie i nie tylko na mnie niesamowite wrażenie. Wojna się skończyła, ale spokoju w kraju nie było i to nie tylko w Bieszczadach. Na naszych terenach również toczyły się bratobójcze walki. Oddziały AK i NSZ zeszyły do podziemia i w zacieklony sposób atakowały nową władzę ludową. Ta rodziła się w bólu, w huku wystrzałów karabinowych i wybuchów granatów.

Po opuszczeniu obozu partyzanckiego wraz z całą rodziną udaliśmy się do Hajnówki i – oprócz ciotki Stachy – wszyscy zamieszkaliśmy w domu dziadków na Żabiej Górcie, gdyż nasz dom został spalony w czasie działań wojennych. Znow zaczęłam uczęszczać do szkoły. Z przymusowych robót w Niemczech powrócił stryjek Gienek. Życie, chociaż nadal biedne, mimo różnych komplikacji politycznych i zakłóceń, zaczęło się powoli stabilizować, lecz dla naszej rodziny nie stwarzało ono jakichś szerszych perspektyw w Hajnówce.

W mieszkaniu dziadków zrobiło się straszne zagęszczenie. W jednej izbie musiało się pomieścić aż 9 osób. Dwoje dziadków, Gienek, Hela i Karol oraz moi rodzice, ja i moja młodsza siostra Lucyna. Nie dość, że ciasno w mieszkaniu, to jeszcze na dodatek i biednie. Mężczyźni zatrudniali się dorywczo, ale to nie załatwiało niczego. Brakowało na żywność i odzienie. Toteż cała rodzina zastanawiała się, co należy zrobić, aby temu zaradzić i jak z tego wszystkiego wybrnąć. Nadzieją na wyjście z tej sytuacji okazał się otrzymany w 1946 roku list od stryjka Mietka, który nie powrócił z przymusowych robót w Niemczech, ożenił się z Jaśką Walką i osiedlił na przedmieściach Kozuchowa.

W liście tym stryjek Mietek pisał, że w Sokołowie położonym o niecałe cztery kilometry od Kozuchowa zajął poniemieckie gospodarstwo – ziemię oraz mieszkanie wraz z zabudowaniami gospodarczymi. Zgromadził również niezbędny sprzęt gospodarczy z tą myślą, że ktoś z rodziny przebywającej w Hajnówce tam się osiedli i prosił o odpowiedź w tej sprawie.

Wkrótce po liście do Hajnówki osobiście przyjechał stryjek Mietek i zaczęła się narada rodzinna. Rozważano wszystkie za i przeciw – jechać na zachód czy nie jechać? W końcu uradzono, że pod przewodnictwem stryjka Mietka wyjadą moi rodzice wraz ze mną i Lucyną oraz ciotką Helą. Pozostali ewentualnie później, jeżeli okaże się, że będą tam korzystniejsze dla nich warunki.

Zabraliśmy z domu wszystko to, co mogliśmy unieść. Niewiele tego było. Wsiadliśmy do wagonu towarowego i ruszyliśmy w drogę. I „szli (w tym przypadku jechali) na zachód osadnicy...” Podróż trwała

prawie trzy doby i wreszcie dotarliśmy do Kożuchowa, skąd stryjek Mietek zaprowadził nas pieszo do Sokołowa.

Na miejscu okazało się, że zarówno mieszkanie, jak i budynki gospodarcze znajdują się w dobrym stanie, położone na górcie, odległe od drugiego gospodarstwa o około 150 metrów.

Wokół drzewa owocowe i pola. Właściwa, ściśle zabudowana wieś oddalona o około 1 kilometra. W niedalekiej odległości od wioski połacie lasów, które w jakiś sposób przypominały „naszą” puszcę. Położenie ładne, lecz w mieszkaniu prawie pustki. Brak podstawowych mebli – łóżek, szaf, stołu. Trzeba było to wszystko organizować i jako tako urządzać mieszkanie.

Nie łatwo było początkowo przyzwyczać się do nowego miejsca i innych warunków, ale czas robi swoje i to udało się pokonać. Trzeba było stopniowo dorabiać się jakiegoś inwentarza i ostro zabrać się do roboty na gospodarstwie, a ręk do pracy nie było wiele. Pomagałam rodzicom w gospodarstwie uczęszczając jednocześnie do szkoły powszechnej w Kożuchowie. Zaczęło się nowe życie z nowymi, ale już nie takimi jak w okresie okupacji kłopotami i radościami.

Dziś, jako sędziwa kobieta, babcia i prababcia, często wspominam przeżycia z okresu wojny, zwłaszcza pobyt w obozie partyzanckim. Trudno mi zapomnieć tamte dni głodu i chłodu oraz grozy. Szczególnie po urodzeniu się Lucyny. Nie ulega jednak żadnej wątpliwości, że gdyby nie ten obóz i życzliwość partyzantów, to życie moje i całej rodziny znalazłoby się w rękach hitlerowskich oprawców i skończyłoby się, jeżeli nie natychmiastową śmiercią, to wywózką do obozu zagłady. A więc z dwojga złego ten obóz partyzancki był dla mnie i mojej rodziny wybawieniem i zachowaniem życia.

Całe szczęście, że pozostały mi tylko, chociaż przykre, wspomnienia z tamtego okresu, a nie jakieś głębsze blizny psychiczne czy fizyczne. Czas leczy rany i zaciera przykre doznania, co należy uznać za duże dobrodziejstwo natury ludzkiej. Obrazy z mojego dzieciństwa nie są już tak wyraziste i ostre jak kiedyś, gdyż zasnuły się mgłą czasu. Niemniej jednak, chociaż przymglone, pozostaną one w mojej pamięci już do końca moich dni.